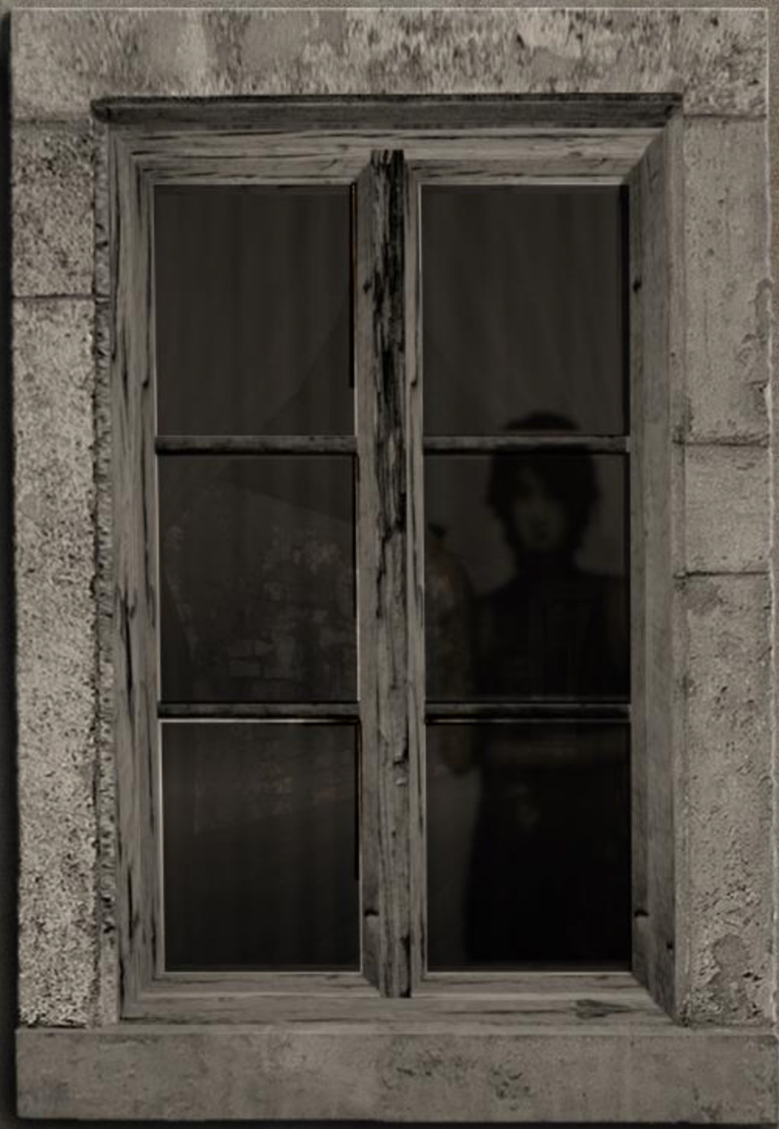


Arthur de Fer



Jej inne życie

Arthur de Fer

Jej inne życie

© Copyright by Arthur de Fer & e-bookowo

Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-7859-974-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I, 2018

Od autora

Aby stworzyć tę opowieść musiałem zmienić historię świata. Miała otaczać ją rzeczywistość, w której polityka jest kierowana przez zdrowy rozsądek, a rzeczy dzieją się według wszelkiego prawdopodobieństwa. W takim świecie niezliczone okropieństwa, jakie przynosi babcia-historia, nie miałyby miejsca, a moje ulubione miasto wciąż byłoby piękne.

A to wszystko tylko po to, aby namalować tło dla opowieści o pewnej kobiecie...

Tego deszczowego wieczoru Trix siedziała przy swoim ulubionym stoliku w Cafe Vivian, z dobrym widokiem na drzwi wejściowe i małą scenę. Trwał właśnie występ jednego z bardziej utalentowanych, miejscowych śpiewaków. Na zewnątrz zapadał zmrok i przez okna, w świetle latarni, można było dostrzec sylwetki przechodniów, pochylających się w obronnym geście przed strugami deszczu i dokuczliwie zimnym wiatrem.

Trix skuliła się w swoim fotelu – im dłużej przypatrywała się w znużeniu przechodniom za oknem, tym bardziej wydawało się jej, że cieniotka materia szyb oddzielająca ją od tego widoku, przepuszcza coraz więcej wiatru i wilgoci. Złudzenie, ale jakże sugestywne. Pochyliła się nad kieliszkiem Martella. Szybkiem, zdecydowanym ruchem wzięła łyk i opadła z ulgą na oparcie. Westchnęła głęboko i przez chwilę skupiła się na ciepłe rozchodzącym się po ciele. Zapaliła papierosa i rozejrzała się po lokalu. Kilka par siedzących przy stolikach, pochłonięte było swoimi rozmowami, dwóch obcych, młodych ważniaków spoglądających z poczuciem wyższości na resztę klientów. Jakiś starszy mężczyzna w eleganckim garniturze, popijający piwo i przysłuchujący się występowi... Przynajmniej do czasu, kiedy śpiewak

zszedł ze sceny i zastąpiła go muzyka nadawana przez radio. W przeciwległym rogu, na sofie za stolikiem, siedziały przytulone Flora i Dagmar. Akurat, kiedy Trix na nie spojrzała, Flora nieśmiało, ostrożnie i delikatnie pocałowała Dagmar w usta. Ta uśmiechnęła się i cicho coś powiedziała, jakieś słowa, których nikt, oprócz nich, nie mógł usłyszeć. „Nareszcie” – pomyślała Trix. – „Nareszcie się na to odważyły, nieśmiałe, niewinne duszyczki”. Znała je, znała większość dziewcząt pojawiających się często w tym lokalu, w tym właśnie miejscu, w którym podobne sceny nie wywoływały zgorszenia. Nie były też niczym dziwnym, ani zdrożnym.

„Jakie to teraz wyraźne... Odpowiednie miejsce dla takich dewiantek jak my. Dobry, ciepły kąt, w którym można schować się przed tym całym, cholernie zimnym, światem” – pomyślała Trix. Jakby potwierdzając te słowa lokal powoli wypełniał się stałymi bywalcami, w większości znanymi Trix. Niektórzy pozdrawiali ją z daleka, inni tylko uśmiechali się na jej widok. Niektórzy podchodzili na chwilę, tak po prostu, żeby zamienić kilka słów. Atmosfera stawała się niemal rodzinna.

Ciemność na zewnątrz dopełniła się. Deszcz stawał się coraz bardziej intensywny, wiatr nie tracił na sile. Zgodnie z prognozami, które Trix słyszała tego dnia w radiu, pogoda załamała się. W lokalu robiło się powoli tłoczno, wszystkie miejsca były zajęte, wielu gości stało to tu, to tam, popijając i rozmawiając. Szum wielu głosów mieszał się z niezbyt głośną muzyką z radia. Niektórzy lekko podrygiwali w jej rytmie. Papierosowy dym wypełniający salę wydawał się dopełniać zagęszczenia. Atmosfera wewnątrz ocieplała się i jednocześnie wypełniała tym rodzajem chaosu, który może powstać tylko w tłumie.

Przez chwilę, ponad gwar, wybił się wysoki głos Margit, jednej z kobiet często odwiedzających ten lokal. Stojąc na krześle, zaśpiewała kilka taktów jakiejś arii, jej towarzyszy przez chwilę

bił jej brawo, a wianuszek otaczających ich dziewcząt uśmiechał się słodko i z wyraźnym uwielbieniem. Margit dawała następny pokaz swojego niezaprzeczalnego talentu i piękna. Jak zawsze spotykający się ze świetnym przyjęciem towarzystwa nieświadomego faktu, że Margit zawsze występuje przede wszystkim przed samą sobą. Była śpiewaczką operową, kiedyś w jednej z rozmów zwierzyła się Trix, że kiedy staje przed publicznością, w blasku jupiterów, staje się, w swoim własnym odczuciu, osamotniona. Tak, że cały występ poświęca samej sobie, że robi to tak, jakby w promieniu setek kilometrów nie było nikogo. Wtedy śpiewa najpiękniej, tak pięknie, że sama daje się ponieść własnemu śpiewowi, spontanicznie i bez zahamowań.

Trix siedziała wciąż sama i przyglądała się temu zgromadzeniu oryginałów. Tak wiele ciekawych, barwnych postaci, a jednak razem zbijali się w czarno-białą masę, tłum, który tak bardzo przypominał każde inne zgromadzenie ludzi. Ich oryginalność była tą cechą, która w tak wielkim zagęszczeniu łączyła ich w bezkształtną materię, zwyczajny tłum, zwyczajne zgromadzenie szarych, codziennych postaci.

Rzuciła okiem na otwierające się właśnie drzwi i zamarła. Przez chwilę ogarnął ją chłód mrozący ciało od stóp do głów. Do Cafe Vivian weszła obca kobieta w potarganym przez wiatr płaszczu i z przemoczonymi włosami. Ciągnęła za sobą ciężką walizę, jak podróżny toboł, który wyraźnie jej przeszkadzał w poruszaniu się. Wydawało się, że wraz z jej wejściem wtargnął do wnętrza zimny wiatr. Szeroko otwartymi oczami wodziła po tłumie, jakby w poszukiwaniu kogoś znajomego. Niby nie było w tym widoku nic niezwykłego, jednak twarz tej kobiety przyciągnęła uwagę Trix. Nieznajoma jeszcze przez chwilę rozglądała się, po czym zaczęła przedzierać się przez tłum, najwyraźniej w poszukiwaniu wolnego miejsca. Wyglądała jak dziewczynka zagubiona w ciemnym lesie.

Trix wstała. Ogarnięta jakimś niesamowitym wrażeniem nie-realności, szybko wypija ostatni łyk koniaku, postawiła kieliszek na stoliku i zaczęła przeciskać się przez tłum, który zdawał się jej w tym przeszkadzać. W końcu stanęła przed kobietą, która wciąż rozglądała się dookoła. Trix chwyciła ją za rękę i pociągnęła lekko do siebie. Nieznajoma spojrzała na nią zaskoczona, ale nie stawiała oporu. Dała się pociągnąć do stolika i posadzić w wygodnym fotelu. Uniosła głowę, żeby spojrzeć na Trix. Ta przez sekundę popatrzyła na nią z góry, po czym przykucnęła przed siedzącą i chwyciła za jej złożone dłonie. Szybko powiedziała:

- Siedź tutaj i nie ruszaj się stąd, dobrze? Zaraz do ciebie wrócę.

Nieznajoma pokiwała głową i opadła na oparcie fotela. Zamknęła oczy i głęboko westchnęła. Trix wstała i pośpiesznie przedarła się do baru, powiedziała do Christiana:

- Dwa razy Martell, szybko.

Barman spojrzał na nią bokiem i zorientował się, że mówi poważnie. Szybko wypełnił dwa kieliszki i podał na bar. Chwyciła je i ruszyła w drogę powrotną, wypatrując z niepokojem nieznajomej. Czy czasem gdzieś nie zniknęła? Lecz kobieta siedziała wciąż rozglądając się zagubionym wzrokiem. Trix podszła, podała jej jeden kieliszek i powiedziała:

- Pij, to cię rozgrzeje.

Patrzyła jak ociekająca wodą nieznajoma wychyla łyk, po chwili drugi, szybciej, wyraźnie jej pomógł. Kiedy siedziały już obok siebie przy stoliku, zwróciła wzrok w stronę Trix i powiedziała miłym, aksamitnym głosem z nieco dziwnym akcentem:

- Dziękuję. Już mi cieplej. Kto ty jesteś? Dlaczego to zrobiłaś?

- Od razu zadajesz pytania? Wszystkiego się dowiesz, nie martw się. Nie jesteś stąd, prawda? Zgubiłaś się?

- Tak, jestem... jestem z Londynu. Miałam tu się zatrzymać na jeden dzień i dołączyć do przyjaciół, ale pomyliłam drogę i... i...

- Zostawili cię samą w obcym mieście? Nie zostawili nawet mapy?

- Tak... Nie zostawili, miałam tylko dotrzeć do portu, ale zgubiłam się i spóźniłam na statek, który już odpłynął i szukałam jakiegoś... miejsca, żeby... żeby się zatrzymać na tą noc i...

- Już nie szukaj, pójdziesz ze mną.

- Ale dokąd, gdzie? – zaniepokoiła się nieznajoma.

- Do mnie, to niedaleko, przenocujesz w moim mieszkaniu.

- Ale ja...

- O nic się nie martw, zaufaj mi, nic ci nie zrobię. Jak masz na imię?

- Ma... Sylvia – szybko poprawiła się nieznajoma.

- W porządku Sylvio, ja jestem Trix. Dopij koniak i pójdziesz, dobrze? – Trix zorientowała się, że chyba lepiej nie zadawać tej kobiecie zbyt wielu pytań. Coś ukrywała, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Patrzyła jak Sylvia dopija koniak i jak przechodzi przez nią dreszcz. Trix podała jej drugi kieliszek i znów przyglądała się, kiedy ta powoli pociągała z niego. Miała delikatne, szlachetne rysy twarzy, ładnie zarysowane usta i duże, szare oczy. Jej włosy stawały się już powoli suche, jaśniały.

- Czy już? Możemy iść?

Sylvia skinęła głową i powoli podniosła się z fotela. Obróciła się do Trix i nieśmiało powiedziała:

- Jestem cała mokra. Znów mam wyjść na zewnątrz?

- Spokojnie, moja droga. Zaraz będziemy u mnie i wreszcie będziesz mogła odpocząć.

Sylvia opuściła wzrok i szybko pokiwała głową. Pozwoliła wziąć się za rękę i poprowadzić do wyjścia. Na zewnątrz uderzył w nie wiatr niosący ze sobą strugi ulewnego deszczu. Po wyjściu z ciepłego pomieszczenia wydawało się, że na dworze panuje mróz. Trix rozłożyła swój wielki parasol, obydwie schowały się pod nim i ruszyły. Szybko skręciły za róg, skąd miały tylko jakieś

sto metrów do celu. Weszły do środka budynku i Trix pokazała Sylvii drogę w górę po schodach. Pomogła jej wciągać do góry ciężki bagaż. Cały czas milczały, aż stanęły przed drzwiami właściwego mieszkania. Prowadząca otworzyła je, wzięła walizkę Sylvii i poprowadziła ją pod rękę do środka. Po wejściu zatrzymała się, poczekała aż Sylvia wejdzie dalej i zamknęła drzwi opierając się o nie plecami. Sylvia obejrzała się na nią niepewnie.

– Więc dobrze – powiedziała po angielsku Trix – Możesz już zdjąć płaszcz. Tutaj odpoczniesz. Jesteś głodna? Zjesz i powiesz mi, skąd tak uciekasz, aż do Hamburga. I nie bój się, nic ci tutaj nie grozi.

* * *

Lato miało się ku końcowi. Czas upałów już minął, powietrze odzyskało świeżość i straciło duszny zapach rozgrzanego kurzu. Drzewa wciąż obciążone były bujną, ciężką zielenią, która dawała błogosławiony cień. Plaża, park i ulice wciąż pełne były turystów, hałaśliwych i wszędobylskich. Nadmorski bulwar i okolice parku pełne były biegających dzieci, ich rodziców i dziadków gotowych spełniać wszelkie zachcianki swych wnucząt. Te z kolei biegały wśród licznych kramów, które oferowały wszystko, czego można się było spodziewać w miejscu o tak rekreacyjnym charakterze.

Wśród tego gwaru, po oddzielonej od plaży wąskim pasmem młodych wydm Am Seestrände, szedł młody mężczyzna, ubrany w jasny, letni garnitur. Spokojnym krokiem przemierzał trasę swoich częstych spacerów, napawając się atmosferą gasnącego lata. Bez pośpiechu szedł przed siebie nie zwracając uwagi na kolorowy tłum otaczający go ze wszystkich stron. Cierpliwie wymijał dzieci zabiegające mu co chwilę drogę, staruszków, którzy powoli przemierzali tą samą trasę. I kuracjuszy, którzy wylegli tłumnie na wydmy i plażę, żeby skorzystać z przyjemnego ciepła przed zapadnięciem zmroku.

Mężczyzna zatrzymał się na chwilę przy końcu bulwaru. Po chwili podążył przez skwer pomiędzy nadmorską Strandhalle i Kurhaus. W tym miejscu nie było tłumu, a duże kasztanowce rzucały błogi cień. Skwer był pusty, jeśli nie liczyć dziewczyny, która szła alejką z naprzeciwka, podpierając się laską i trzymając na smyczy ogromnego psa. Powoli zbliżali się, spoglądając ukradkiem na siebie. Nieznajoma ubrana była skromnie, lecz ze smakiem, miała spięte z tyłu włosy mysiego koloru i twarz o dużych, podkrążonych oczach. Jej wzrok zdawał się skupiać z niezwykłą intensywnością na wszystkim, na co spojrzała. Kiedy zbliżyli się do siebie na parę kroków, mężczyzna odniósł wrażenie, że młoda kobieta chce coś do niego powiedzieć. Obrócił twarz w jej stronę, ona jednak ominęła go bez słowa, odwracając wzrok i z uporem wpatrując się przed siebie. On sam przeszedł jeszcze sto kroków, zaskoczony nagłym uczuciem pustki, które go ogarnęło. Zatrzymał się przy końcu alei i obejrzał za siebie. Dziewczyna była już po drugiej stronie – szła w tym samym tempie stukając laską. Drobnymi, lecz zdecydowanymi ruchami przyciągała do siebie psa, który miał najwyraźniej ochotę pobiec przodem, lecz nie szarpał smyczy na tyle mocno, by kobieta mogła stracić równowagę. Przez chwilę patrzył na tą scenę pełną dziwnego, ulotnego patosu. Dziewczyna podążała przed siebie pomimo swej ułomności, uparcie i metodycznie przeciwstawiając się losowi, który skazał ją na takie trudy. Po chwili zniknęła skręcając w stronę plaży.

Mężczyzna powoli odwrócił się i podążył dalej, w kierunku domu. Wciąż pod wrażeniem krótkiego spotkania z nieznajomą, pokonał całą drogę niemal bezwiednie, nie zwracając uwagi na przechodniów, samochody i brzęczące tramwaje. Wciąż rozmyślał o dziewczynie z psem. Wydawała się znajoma, przypominała kogoś, jak dawno niewidziana osoba, którą się kiedyś dobrze znało. Miał wrażenie, że powinien coś zrobić, powiedzieć. Ten

krótki epizod wpełchnął go w poczucie jakiejś pustki, jak coś niedokończonego. Po minięciu kilku bocznych uliczek skręcił z Danzigerstraße, poszedł w kierunku swojego domu na Feldweg. Pogrążony w rozmyślaniach automatycznie otworzył drzwi przy bramie, wszedł do budynku i zaczął powoli wspinać się po schodach na piętro. Otrząsnął się dopiero w drzwiach, wchodząc do swojego mieszkania. Zdjął marynarkę i powiesił ją na krześle stojącym w długim przedpokoju. Spojrzał na stojący w rogu zegar, wszedł do gabinetu, otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz. Zapalił papierosa. Podniósł z podłogi balkonu małą popielniczkę, postawił ją na parapecie okna i spojrzął na kamienicę po drugiej stronie ulicy. Sylvia Alsenor stała na balkonie swojego mieszkania i przyglądała mu się, paląc papierosa.

Wieczór zapowiadał się pogodnie, jak większość wieczorów tego lata. Słońce chylące się powoli ku zachodowi nadawało wszystkiemu złoty odcień, a lekki wiaterek przynosił znad morza zapach rozgrzanego piasku. Ruch na tej ulicy nie był zbyt intensywny. Z innych miejsc dobiegał tu zaledwie cichy szmer zwykłego ulicznego hałasu. Nieliczni przechodnie poruszali się bez pośpiechu, a niezbyt odległy odgłos tramwajów i samochodów wydawał się robić mniej hałasu niż zwykle. Sylvia stała i cieszyła się zarówno wieczornym powietrzem, jak i niezwykle spokojnym nastrojem, jaki panował na ulicy. Wiatr lekko poruszał jej włosami i sukienką. Z któregoś z okien sąsiedniej kamienicy dobiegło parę taktów spokojnej, łagodnej muzyki. Zgasiła papierosa w ciężkiej, szklanej popielniczce stojącej na balkonowym stoliku i właśnie miała wrócić do środka mieszkania, kiedy zatrzymała się i bez pośpiechu odwróciła głowę. Człowiek na balkonie po drugiej stronie ulicy podniósł wzrok i spojrzął dokładnie na nią. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym znów opuścił wzrok, pogrążając się we własnych myślach. Sylvia powoli odwróciła się i z lekkim uśmiechem na ustach mruknęła pod nosem:

– Wiedziałam, że przyjdzie.

Weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Zaciągnęła zasłony i udała się do sypialni, gdzie czekała na nią dopiero co otwarta książka.

* * *

Jeszcze dziesięć lat wcześniej ulica ta była tylko pełną drogą biegnącą z zachodu na wschód. I tak też nazywała się teraz – Feldweg. Po jej południowej stronie, gdzie mieszkała Sylvia, znajdowały się tylko cztery nowe domy. Po północnej było ich pięć. Dalej, w stronę pozostałości starego fortu, ciągnęły się nieco podmokłe łąki, które z rzadka wykorzystywano jako pastwiska przedzielone wąską, gruntową drogą. Sama ulica nie była więc zbyt często uczęszczana. Ot, mały lokalny ruch, czasem ciężarówka podążająca w kierunku wojskowych instalacji przy torach kolejowych. Nic specjalnego. Feldweg nie była też zbyt szeroka. Jej nawierzchnia była utwardzona nowym brukiem, po obu stronach ciągnęły się wąskie chodniki. Okoliczne pary czasem po nich spacerowały, zawracając w miejscu, gdzie brukowana nawierzchnia kończyła się za zabudowaniami. W czasie lata i wczesnej jesieni było tu naprawdę uroczo, szczególnie wieczorami. Pomimo bliskości Danzigerstraße, od której Feldweg brała swój początek, było tu w miarę cicho. Czasem tylko słychać było pociągi, dojeżdżające do niedalekiego portu.

Dom oficjalnie należał do ciotki Sylvii – Berthy Schrödinger. Ona sama zajmowała całe piętro budynku. Na parterze znajdował się prowadzony przez Sylwię sklep. „Sklep Papierowy” – głosił szyld nad wejściem. Mała księgarnia, jedyna w okolicy, wszystko, co można było wykonać z papieru i trochę materiałów do rysunku i malowania. Sylvia nie mogła sobie tego odmówić, przecież wciąż miała ogromny sentyment do rysunku. Lokal znajdujący się na zapleczu parteru był umeblowany, lecz niezamieszkały. Pierwotnie miał służyć jako magazyn sprzętu

ogrodniczego, gdyż za domem znajdował się zaniedbany ogród, właściwie nieużytek, teraz pozostawiony sam sobie.

Na pierwszym piętrze kamienicy po drugiej stronie ulicy mieszkał pewien człowiek, Sylvia wiedziała tylko tyle, że mężczyzna ów nazywa się Kempf. Niewiele więcej mogła o nim powiedzieć. W pewnym sensie był miejscową ciekawostką, obiektem okazyjnych rozmów i domysłów. Nikt nie znał go dobrze, niewielu mieszkańców Brösen kiedykolwiek z nim rozmawiało, nikt nie wiedział, czym się zajmuje, ani skąd pochodzi. Był świetnym tematem rozmów dla okolicznych plotkarek i niektóre z nich opowiadały Sylvii niestworzone rzeczy, kiedy kupowały coś w jej sklepie. Gadały o tym, że jest bardzo dziwny, bo wie pani, nie wiadomo, co robi, skąd ma pieniądze na ten piękny apartament w tym ładnym domu, ten piękny samochód i garnitury. Bardzo dobre garnitury, widziała pani? Plotki mniej lub bardziej prawdopodobne. Niektóre mówiły, że Kempf jest synem bogatego człowieka, który go wygnał, nie pozbawiając jednak majątku. Były też i takie, które mówiły o tym, że w najlepszym wypadku jest przestępcą i zbrojnym, ukrywającym się tutaj przed wymiarem sprawiedliwości. W tym momencie plotkarki przechodziły do bliższych im tematów. A przecież w tej dzielnicy mieszkało wiele innych ciekawych i majątnych osób. Niektórzy z nich posiadali piękne domy, często otoczone zadbanymi ogrodami. Bogatsze rezydencje znajdowały się jednak bliżej plaży, w atrakcyjniejszych miejscach, bardziej prestiżowych. Kempf wybrał jednak to. Sylvia czasem myślała, że może faktycznie, jak ona sama, Kempf ma coś do ukrycia.

Trwało to od jakiegoś czasu. Nienachalnie przyglądali się sobie, trochę jak nieśmiali nastolatki. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Nikt nigdy ich ze sobą nie poznał. Nie wiedzieli zbyt dużo o sobie, poza tym, że mieszkali w sąsiedztwie. Po prostu kiedyś, jakiś rok wcześniej, Sylvia przez przypadek zobaczyła,

że w otwartym oknie domu, dokładnie naprzeciwko jej, także otwartego okna, stoi młody mężczyzna i patrzy na nią. Na początku poczuła się nieswojo, przez chwilę wpadła w popłoch. Później jednak stało się to jakimś zwyczajem. Po prostu od czasu do czasu przypatrywali się sobie.

Wiedziała, że najprawdopodobniej Kempf zajmuje całe pierwsze piętro tej kamienicy. Przez jego okna, których nie zasłaniał nawet firankami, widziała jednak tylko część tego apartamentu. Po jej prawej stronie widać było jego bibliotekę ze stołem do bilarda na środku, po lewej było coś w rodzaju małego saloniku, w środku zaś gabinet. Apartament musiał mieć jeszcze inne pomieszczenia. Nie widziała u niego zbyt wielu gości. Czasem pojawiali się jacyś mężczyźni, z którymi Kempf rozmawiał. Najwyraźniej prowadzili jakieś interesy. Czasem przychodziła dziewczyna o długich blond włosach. Nie wyglądała na gosposię, ale najwyraźniej pomagała Kempfowi w utrzymywaniu porządku. Z tego, co Sylvia zauważyła, pojawiała się ona dosyć nieregularnie. Oprócz niej, w mieszkaniu Kempfa widziała tylko jedną kobietę. Pojawiła się jedynie dwa razy. Była to wysoka kobieta o czarnych, bardzo długich włosach, która wspierała się laską. Sylvia widziała ich kiedyś razem na ulicy. Twarz nieznajomej przyciągała uwagę, szczególnie jej oczy. Przypominały oczy polującego kota. Robiła dziwaczne wrażenie – odrobinę wyższa od Kempfa, utykająca, chodziła jednak energicznie i z pewną gracją. Razem tworzyli ciekawą parę, dawało się też dostrzec pewne podobieństwo między nimi.

Sywię intrygowała jego postać. Była w nim jakaś tajemnica, coś co powodowało, że powracał w jej myślach. I przynosił ze sobą ten stary lęk przed byciem obserwowaną. Kto wie, może nawet ocenianą? Nie działał się jednak nic niepokojącego, więc szybko odpędzała ten lęk od siebie. Było w nim też coś pociągającego, bo wspólne przyglądanie się sobie nawzajem przerodziło się w jakiś rodzaj okazyjnego rytuału.